

Kate Wilhelm

Eksperyment Darina

Przełożył Arkadiusz Nakonecznik

Rae przystanąła pod ścianą z jednostronnie przezroczystego szkła, nachyliła się i popatrzyła na zamkniętego w klatce młodego gibbona. Darin przyglądał się jej z cierpkim grymasem na twarzy. Po chwili wyprostowała się, wsunęła dłonie do kieszeni laboratoryjnego fartucha i z niewinną, pozbawioną wszelkiego wyrazu twarzą ruszyła w jego stronę wąskim przejściem między rzędami klatek.

– Ciągłe uważasz, że to okrutne i beznadziejne?

– A pan, doktorze Darin?

– Czemu ciągle to robisz? Odpowiadasz pytaniem na pytanie.

– Czy to cię denerwuje?

Wzruszył ramionami i odwrócił się od niej. Wziął swój fartuch rzucony niedbale na krzesło i naciągnął go na błękitną sportową koszulkę.

– A jak się miewa mały Driscoll? – zapytała Rae. Na moment zeszywniał, ale zaraz się odprężył.

– Tak samo, jak tydzień czy rok temu. I tak z nim będzie aż do śmierci – odpowiedział, ciągle odwrócony do niej tyłem.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich wielka, dobrodusznna twarz.

– Jesteś sam? – zapytał Stu Evers omiatając wzrokiem pomieszczenie. – Zdawało mi się, że słyszałem jakieś głosy.

– Mówiłem sam do siebie – odparł Darin. – Komitet skończył już obrady?

– Lada moment. Doktor Jacobsen opóźnia wszystko tym swoim rozpylaczem na alergię. – Zawahał się na moment, spoglądając badawczo wzdłuż rzędów klatek. – Nie sądzisz, że facet uczulony na zapach małp powinien zająć się jakimiś innymi badaniami?

Darin obejrzał się, ale Rae już zniknęła. Co to było tym razem? Sprawa młodego Driscolla, podstawa funkcjonowania całego projektu? Zastanawiał się, czy miała własne życie poza laboratorium.

– Będę na zewnątrz – powiedział. Ominął Stu w drzwiach i wyszedł prosto w intensywną zieleń lasów Florydy.

Kakofonia dźwięków zwała się na niego już po pierwszym kroku. Na piętnastu hektarach

lasu wykorzystywanego przez instytut żyło czterysta sześćdziesiąt dziewięć małp. Każda z nich piszczala, wyła, śpiewała, przeklinała lub w jeszcze inny sposób dawała znać o swojej obecności. Darin odchrząknął i skierował się w stronę corralu. „Najszcześniejsze małpy świata”, tak napisała o nich jedna z gazet. „Śpiewające małpy”, donosił podtytuł. „Małpy karmione pigułkami mądrości”, informowała najbardziej przedsiębiorcza, a tylko jedna nadała swej relacji nagłówek: „Niespotykane okrucieństwo”.

„Corralem” nazywano półtora hektara starannie rozplanowanej i pielęgnowanej dżungli, ogrodzonej dziesięciometrowej wysokości ścianą z gładkich, plastikowych płyt, z góry zaś przykrytej przezroczystą kopułą. W plastikowym ogrodzeniu rozmieszczone były okna z jednostronnie przezroczystego szkła. Przy jednym z nich stała niewielka grupka ludzi; był to właśnie komitet.

Darin zajrzał przez jedno z okien do wnętrza zagrody. Heloisa i Skuter z zadowolonymi minami iskali się nawzajem z nieistniejących pcheł, Adam zajadał banana, a Homer leżał na grzbiecie i od niechcienia drapał się po nosie palcami to jednej, to drugiej stopy. Kilka szympanсів zebrało się przy wodotrysku. Nie były spragnione; naciskały tylko od czasu do czasu pedał przyglądając się strumieniowi wody i zanurzając czasem twarze lub dłonie w wypełnionej po brzegi misie. Darin dołączył do grupy, w której dojrzał również doktora Jacobsena.

– Dzień dobry, pani Bellbottom – powiedział uprzejmym tonem. Czy pani wie, że właśnie zgubiła pani spódniczkę? – Następnie zwrócił się do majora Dormouse’a: – Ach, majorze, ilu nieprzyjaciół zatłukł pan dzisiaj na śmierć tą swoją ładną żółtą ścierką? Widzę, że przyprowadził pan ze sobą zawodowego podglądacza – uśmiechnął się przyjaźnie do przyszczonego młodego człowieka z aparatem fotograficznym. – Znowu historyjki w gazetach, tym razem ze zdjęciami?

Przyszczone młodziencze przestąpił z nogi na nogę, nie bardzo wiedząc, co począć z aparatem. Major pałał wściekłością, a panna Bellbottom na kolanach szukała w krzakach swojej spódniczki. Darin zamrugał gwałtownie. Nikt z nich nie miał na sobie ubrania. Odwrócił się do okna; szympanсы kończyły właśnie zastawiać duży stół filiżankami z chińskiej porcelany i srebrnymi półmiskami pełnymi kanapek. Wszystkie ubrane były w barwne koszule i sukienki. Hortense miała nawet na głowie monsturalnych rozmiarów słomkowy kapelusz przeciwsłoneczny w kolorze bladozielonym. Darin, walcząc z ogarniającym go śmiechem, oparł się o ogrodzenie.

– Rozpuszczalny kwas rybonukleinowy – mówił doktor Jacobsen, gdy Darin doszedł jako tako do siebie – w skrócie rRNA. Tak oto przeszliśmy od prymitywnych początków, kiedy to karmiliśmy robaki ciałami ich wytresowanych krewniaków, w ten sposób przekazując także ich odruchy warunkowe, do metod nieporównywalnie bardziej wyrafinowanych. Obecnie pobieramy od tresowanych zwierząt cząsteczki rRNA, podajemy je zwykłym osobnikom i obserwujemy

rezultaty.

Młody człowiek cały czas robił Jacobsenowi zdjęcia. Pani Jakaśtam, z ustami zaciśniętymi w cieniutką kreskę, notowała pilnie każde słowo. Kapelusz rzucał na jej twarz zielonkawy cień, opięta zaś na biodrach żółto-czerwona sukienka, oświetlona pod odpowiednim kątem, zdawała się wić i poruszać. Darin patrzył na to zafascynowany. Pani Jakaśtam miała około sześćdziesiątki.

– ...mojego kolegę, który zaproponował poprowadzenie eksperymentu w tym właśnie kierunku, doktora Darina – zakończył Jacobsen i Darin uklonił się lekko. Nie usłyszał, co Jacobsen zdążył już o nim powiedzieć, i dlatego postanowił poczekać na pytania.

– Doktorze Darin, czy to prawda, że pobiera pan tę substancję również i od ludzi?

– Nawet gdy się pan drapie, traci pan trochę „tej substancji” – odpowiedział Darin. – Podobnie przy każdym skaleczeniu. Ona znajduje się w każdej komórce pańskiego ciała. Rzeczywiście, czasami pobieramy próbki ludzkiej krwi.

– I wstrzykujecie ją zwierzętom?

– Czasami. – Czekał teraz na kolejne, nieuniknione pytanie i zastanawiał się, jak ma na nie odpowiedzieć. Jacobsen mówił im kiedyś, co mają w takiej sytuacji robić, ale Darin nie pamiętał z tego ani słowa. Pytanie nie padło. Pani Jakaśtam postąpiła krok naprzód i spojrzała w okno.

Darin popatrzył na nią uważnie; odwróciła wzrok koncentrując uwagę na znajdujących się we wnętrzu zagrody szympanсах.

– Tak? Słucham panią? – odezwał się pierwszy. Nadal nie patrzyła na niego.

– Ale dlaczego? Po co to wszystko? – zapytała zduszonym głosem. Pryszczaty młodzieniec zbliżał się coraz bardziej do drugiego okna.

– Cóż, nasza teoria jest bardzo prosta – odparł Darin. – Uważamy, że znaleźliśmy sposób, by poprawić zdolność uczenia się u osobników niemal każdego gatunku. Wykres przyswajania wiedzy ma zwykły spłaszczony kształt: na jednym jego końcu są ci nieliczni, którzy uczą się bardzo szybko, na drugim ci, którym przychodzi to z trudem, pośrodku zaś przeciętna większość. Jak wykazują nasze eksperymenty, jesteśmy w stanie poprawić zdolności uczenia się tych dwóch ostatnich grup i to w takim stopniu, że dorównują one umiejętnościom najzdolniejszych jednostek z grup kontrolnych nie objętych naszymi doświadczeniami...

Nikt go nie słuchał. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Otrzymają później przygotowane specjalnie dla nich omówienie całego eksperymentu; napisane prostym językiem, bez trudnych wyrazów i tasiemcowych zdań. Tymczasem wszyscy zajęci byli obserwacją szympanców.

– Okręciliśmy na pięcie trzykrotnie wśród obłoków, aż duch ogarnął dziewcząt oczy modre – powiedział. Jeden z członków komitetu zagapił się na niego.

– Osiągamy te nasze efekty niezależnie od tego, czy podajemy im to dożylnie, czy doustnie

– podjął Darin i spocony facet odwrócił się znów do okna. – Codziennie rano zastrzyki, starannie planowana dieta, planowana prokreacja, plany planujące plany dla następnych planów...

Tym razem Jacobsen spojrzął na niego podejrzliwie. Darin przestał mówić i zapalił papierosa. Kobieta o falujących biodrach odwróciła się od okna. Jej twarz była cała czerwona.

– Wystarczy mi to, co widziałam – powiedziała. – Za gorąco tutaj. Czy moglibyśmy zobaczyć teraz wnętrza laboratoriów?

W budynku Darin przekazał zwiedzających Eversowi, sam zaś niespiesznym krokiem wrócił na swoje miejsce przy ogrodzeniu. Uśmiechnął się dojrzwawszy w głębi „corralu” przechadzającego się buńczucznie Adama; szympanś nie zwracał najmniejszej uwagi na Hortense, która z kompletnie zdezorientowaną miną kołysała się nieopodal na pośladkach. Darin pomachał Adamowi, a potem, pogwizdując z cicha, wrócił do swego gabinetu. O pierwszej miała przyjechać pani Driscoll z Sonnym.

Sonny Driscoll miał czternaście lat, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ważył sześćdziesiąt pięć kilo. Jego pielęgniarz miał metr osiemdziesiąt pięć i ważył sto pięć kilo. Kiedy Sonny miał dwanaście lat, złamał rękę matce; kiedy miał trzynaście, złamał nogę i rękę ojcu. Jak do tej pory pielęgniarzowi jeszcze nic się nie przydarzyło. Codziennie rano pani Driscoll troskliwie myła, ubierała i karmiła swoje dziecko, wyprowadzała je na spacer, mówiła mu z ożywieniem i nadzieją o planach, jakie poczyniła na najbliższe miesiące, śpiewała mu kołysanki. Sonny w ogóle nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Jego pielęgniarz, Johnny, nigdy nie oddalał się od niego bardziej niż na metr.

Pani Driscoll nie chciała nawet myśleć o dniu, kiedy będzie musiała oddać swoje dziecko do zakładu. Całą swoją wiarę i nadzieję skoncentrowała na Darinie.

Przyjechali o drugiej piętnaście; wcześniej, niż się ich spodziewał, później, niż byli umówieni.

– Cały czas się rozbierał – oznajmił pośpiesznie Johnny.

Chłopak właśnie znów zaczął zdejmować odzież. Johnny już ruszył w jego kierunku, ale Darin potrząsnął głową. To nie miało znaczenia. Pobrał próbkę krwi z jednego muskularnego ramienia, po czym zrobił zastrzyk w drugie. Sonny w ogóle nie zwracał na to uwagi. Nigdy na nic nie zwracał uwagi. Odmawiał współpracy podczas testów. Doprowadzili go do krzesła, ale on siedział tylko zapatrzony w nicość, ignorując rozłożone przed nim na stole klocki, kolorowe piłeczki, kredki, cukierki. Nic z tego, co mówił lub robił Darin, nie wywierało na nim najmniejszego wrażenia. Wreszcie czas minął. Pani Driscoll podziękowała Darmowi za pomoc, jaką okazał jej dziecku.

Stu i Darin prowadzili lekcje codziennie od czwartej do piątej. Kiedy zjawili się w klasie, Kelly O’Grady kończyła właśnie przygotowywać mały do zajęć. Kelly była bardzo wysoka, bardzo szczupła i bardzo rudowłosa. Stu zawsze aż drżał, kiedy przypadkiem ocierała się o niego

w korytarzu; Darin miał nadzieję, że pewnego dnia Stu napuści na nią Adama. Siedziała sztywno na swym wysokim stołku z notatnikiem oparty m na kolanie, kompletnie nieświadoma, co w tym czasie dzieje się ze Stu, a jeżeli była świadoma, to nie dawała tego po sobie poznać. Darin zastanawiał się nieraz, czy ona nie jest aby przypadkiem jedną z Zaszytych Laleczek, zaprogramowaną do znakomitego wykonywania swoich obowiązków w laboratorium, ale do niczego poza tym.

Myślał nieraz o tym, jak przygotowuje się Laleczki: długonogie, szczupłe dziewczyny o wysokich piersiach były dokładnie golone, paznokcie malowano im na różowo, usuwano sutki i zaszywano wszystkie otwory ciała z wyjątkiem ust, wiecznie uśmiechniętych i prowadzących donikąd.

Klasa składała się z sześciu nie nakarmionych jeszcze małąp. Miały one wykonać po kolei sześć czynności: 1) pociągnąć za sznurek, 2) przejść na drugą stronę klatki i podnieść pręt zwolniony tym pociągnięciem, 3) powtórnie pociągnąć za sznurek, 4) podnieść drugi pręt, dający połączyć się z pierwszym, 5) połączyć oba pręty, 6) przyciągnąć wydłużonym prętem kiść bananów leżących na podłodze w pobliżu klatki. O piątej małąp wracały pod władanie Kelly, która odwoziła jedną po drugiej do pomieszczenia, gdzie mieszkały. Żadna nie wykonała wszystkich czynności, aczkolwiek dwie były już całkiem bliskie rozwiązania problemu.

Czekając, aż ostatnia małąp zostanie zabrana do swojej kwatery, Stu zapytał:

– Coś ty zrobił rano tej bandzie idiotów? Wszyscy sprawiają wrażenie lekko oszołomionych.

Darin opowiedział mu o popisie Adama. Śmiali się jeszcze obaj, kiedy wróciła Kelty i śmiech Stu zamienił się w coś przypominającego raczej szloch. Darin chciał mu już powiedzieć o swoich podejrzeniach dotyczących dziewczyny, ale zrezygnował z tego i po prostu wyszedł.

Dwudziestokilometrowa droga do domu prowadziła wąską, prostą szosą przecinającą ciemne lasy Florydy.

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu, żeby tam mieszkać powiedziała dziewięć lat temu Lea, kiedy nadeszła oferta z Florydy. I rzeczywiście, nie miała. Dom był klimatyzowany, samochód Lei był klimatyzowany, za domem znajdował się basen wystarczająco duży, by zwodować w nim transatlantyk. Ciągłe przestraszona miejscowa dziewczyna o wielkich oczach wykonywała wszystkie prace domowe, Lea zaś przybierała na wadze, od czasu do czasu malowała, od czasu do czasu pisała poezje – i regularnie gościła żony kolegów Darina z instytutu. Darin podejrzewał, że od czasu do czasu gościła również samych kolegów.

– Och, profesorze, życzy pan sobie dzisiaj całą godzinę? To wyniesie piętnaście dolarów. – Zapisał zgłoszenie i zwrócił się do niej: – Jeszcze dwóch dzisiaj i będziemy mogli spłacić samochód. Co ty na to, kochanie? Zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego kształtnymi, wysoko osadzonymi piersiami. Musiała odchylić nieco głowę, by mógł ją pocałować. – A potem twoja kolej, mój drogi. Za darmo! – Spróbował ją pocałować, ale jego

język natrafił na jakąś przeszkodę; dopiero wtedy zobaczył, że ten uśmiech był tylko z wierzchu, że usta jej prowadziły donikąd.

Zaparkował koło jakiegoś obcego MG i wszedł do wnętrza domu, gdzie zawsze można było dostać lodowate martini.

– Kochanie, pamiętasz chyba Gretę? Będzie mi dawała lekcje dwa razy w tygodniu. Czyż to nie cudowne?

– Ale przecież ty już skończyłaś naukę – wymamrotał. Greta nie była wysoka i nie miała długich nóg. Wyglądała raczej niepozornie. Pomyślał, że może rzeczywiście skądś ją pamięta, ale raczej słabo. Miała bardzo zimną dłoń.

– Greta właśnie się sprowadziła. Od wiosennego semestru będzie miała zajęcia ze sztuki nowoczesnej. Poprosiłam ją o prywatne lekcje i zgodziła się. – Greta Farrel – powiedział Darin, ciągle trzymając jej niewielką dłoń.

Zostawili Leę samą i wyszli przez jedno z otwartych, sięgających podłogi okien na patio; powietrze przesycone było zapachem kwiatów pomarańczy. – Greta uważa, że to musi być wspaniale mieć męża psychologa – dobiegł ich głos Lei. – Gdzie jesteście?

– Dlaczego tak twierdzisz? – zapytał Darin.

– Bo myślę, że musisz wspaniale rozumieć kobiety, ich nastroje i motywy, jakie nimi powodują. Wiesz z pewnością, co robić i kiedy... a kiedy przestać... Tak, to właśnie to...

Jego ręce spoczywające na jej ciele były gorące, jej skóra chłodna. Rozdrażniony głos Lei zbliżał się coraz bardziej. Trzymając cały czas Gretę w ramionach wszedł do basenu. Razem opadli na dno. Nie była Zaszytą Laleczką. Jego ręce poznały jej ciało, potem uczyniło to też jego ciało. Kiedy już skończyli się kochać, Greta odsunęła się od niego z ociąganiem.

– Muszę już iść. Jest pan szczęśliwym człowiekiem, doktorze Darin. Żadnych wątpliwości, pełna świadomość tego, co i dlaczego pan robi...

Leżał na wznak na skórzanej kanapie i wpatrywał się w sufit.

– I właśnie tak to zawsze wygląda, doktorze. Fantazje, sny, iluzje. To na pewno dlatego, że w każdej chwili grozi nam oficjalne śledztwo, ale nawet kiedy nic się specjalnie nie dzieje, ciągle mam te nagłe przeskoki, zupełnie bez powodu. – Zamilkł.

Darin poruszył się lekko w swoim fotelu; ze wzrokiem utkwionym w stojącym od nie wiadomo jak dawna zegarze zabębnił delikatnie palcami w poręcz.

– Czy przedtem miał pan kiedyś tak wyraźne urojenia?

– Chyba nie – odparł z namysłem Darin.

Ten drugi nie dał mu wiele czasu na zastanawianie się.

– A czy może pan się od nich uwolnić, gdy pan tego chce albo musi?

– Oczywiście – odparł Darin.

Śmiejąc się na głos wysiadł z samochodu, poklepał MG i wszedł do domu. Słyszał

dochodzące z salonu głosy i przypomniał sobie, że Lea rzeczywiście ma zawsze w czwartki lekcje malowania.

Doktor Lacey odjechał pięć minut po przybyciu Darina. Powiedział coś nieokreślonego na temat wielkiego, niewykorzystanego talentu Lei. Darin poważnie skinął głową; jeżeli istotnie była obdarzona jakimś talentem, to z całą pewnością był on jeszcze nie wykorzystany. Jednak nie powiedział tego na głos.

Lea miała na sobie strój pani domu – przejrzyste zwoje czegoś błękitnego dokoła przylegającego ściśle do ciała granatowego kombinezonu. Darin zastanawiał się, czy Lea zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo przytyła przez ostatnich kilka lat. Przypuszczał, że me.

– Ten człowiek jest wprost niemożliwy – powiedziała, gdy MG wystrzelił spod ich domu. – To już przecież dwa lata, a on ciągle nie chce nikomu pokazać moich rzeczy.

Spoglądając na nią Darin nie bardzo mógł sobie wyobrazić, by jej rzeczy mogły być jeszcze bardziej wyeksponowane, niż teraz.

– Nie marudź za długo nad tym swoim martini – powiedziała. – Jesteśmy proszeni na siódmą do Ritterów. Będą małże.

Kiedy brał prysznic, zadzwonił telefon. Chciał z nim rozmawiać Stu Evers. Darin stał ze słuchawką przy uchu, ociekając wodą.

– Widziałeś wieczorne wydanie? Ta dziewczucha oznajmiła, że w instytucie panują straszliwie warunki i że zwierzęta cierpią bez żadnej potrzeby. Darin jęknął z cicha, a Stu mówił dalej:

– Zwali się jutro z całą gromadą bab, aby udowodnić, że ma rację. Jest jakaś szczyha w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami albo czymś w tym rodzaju.

Wtedy właśnie Darin zaczął się śmiać. Pani Jakaśtam stała przy ogrodzeniu z twarzą przyciśniętą do okna, przy innych tłoczyły się pozostałe baby, wszystkie w krzykliwych, kwiecistych sukniach. Żadna z nich się nie poruszała. Wewnątrz zagrody Adam kopulował z Hortense, potem przeszedł do Esmeraldy, później do Hildy...

– Do licha, Darin! Tu nie ma nic do śmiechu! – Jest, właśnie że jest...

Małże u Ritterów były wyśmienite. Małże, a oprócz tego zakąski z ryby-młota, kilogramy masła, monstualna sałata, piwo, wreszcie kawa z dużą domieszką brandy. Po skończonym przyjęciu Darin czuł się syt i wesół. Ritter miał coś wspólnego ze średniowieczną literaturą angielską, ale nie mówił nic na ten temat, co było bardzo miłe z jego strony. Współczuł Darinowi z powodu zamieszania z Towarzystwem. Uważał, że naukowcy pozbawieni są wyobraźni; Darin zgodził się z nim i wkrótce wracał już z Leą do domu.

– Tak się cieszę, że nie upierałeś się, by zostać dłużej – powiedziała Lea, z rykiem klaksonu przejeżdżając ciąglą linię. – Strasznie chciałam zobaczyć nocny film w telewizji.

Mówiła cały czas, ale on nie słuchał; dwunastoletni trening pozwalał mu na automatyczne wydawanie w odpowiednich momentach aprobujących pomruków.

– Ritter to taki nudziarz – powiedziała. Zbliżali się już do domu. Zupełnie jakbyś ty miał coś wspólnego z tym niesłychanym oświadczeniem w gazecie!

– Z jakim oświadczeniem?

– Nie czytałeś tego artykułu? Jak mogłeś? Jutro każdy będzie o tym mówił... – Wydała z siebie teatralne westchnienie. – Ktoś napisał, powołując się na godne zaufania źródło, że wkrótce, udoskonalwszy waszą metodę, będziecie mogli wyhodować małpy tak mądre, jak ludzie.

Wybuchnęła krótkim, nic nie znaczącym śmiechem. – Przeczytam to w domu – powiedział.

Nie zapytała o to oświadczenie, nie zainteresowało ją, czy jest prawdziwe, czy fałszywe, czy wyszło z jego ust, czy nie. Przeczytał artykuł, podczas gdy Lea szykowała się do oglądania telewizji, po czym wyszedł popływać. Woda była ciepła i czuł na skórze chłodne podmuchy wiatru. Moskity odnalazły go od razu, gdy tylko wyszedł z basenu, toteż skrył się przed nimi na werandzie. Po pewnym czasie błękitny poblask w salonie zgasł i dokoła była już tylko ciemna noc. Lea nie zawołała go idąc do łóżka. Wiedział, że porusza się ostrożnie, zamykając delikatnie drzwi, by trzask zamka nie obudził go, jeśli uciął sobie drzemkę na werandzie.

Znał dokładnie powód, dla którego jeszcze tego wszystkiego nie skończył: żal. Najbardziej niszczące ze wszystkich uczuć właściwych człowiekowi. Lea była produktem tej specyficznej szkoły, w myśl której dojście do ołtarza było celem i spełnieniem marzeń każdej dziewczyny; kobiety takie jak ona doznawały szoku, gdy okazywało się, że wcale tak nie jest, że to nie koniec, a raczej dopiero początek prawdziwego życia. Niektóre z nich nigdy nie potrafiły się z tego szoku otrząsnąć; Lea właśnie do nich należała. I nigdy już się to jej nie uda. W wieku lat sześćdziesięciu będzie zaciskała z obrzydzeniem usta na widok spółkujących par, bez względu na to, czy będą to ludzie, czy zwierzęta, i dołoży wszelkich starań, by tego typu zachowania zostały oficjalnie zakazane. Kiedyś miał jeszcze nadzieję, że może dziecko coś by tutaj pomogło, ale ta szkoła robiła im też coś od wewnątrz. Nie mogły począć dziecka; jeżeli nawet im to się udało, zazwyczaj nie mogły go urodzić; jeżeli rodziły, dziecko było najczęściej martwe, a jeśli nawet żyło, to należało mu tylko współczuć i litować się nad nim bardziej niż nad tymi, które walczyły i zostały pokonane in utero.

Nad basenem przeleciał bezszelestnie nietoperz i zniknął w czarnym gąszczu azalii. Wkrótce pojawi się księżyc; szympany będą przez chwilę wiercić się niespokojnie na swoich legowiskach, by niebawem zapaść ponownie w głęboki, nie zmacony niczym sen. Spały zawsze jeden przy drugim, nie zawracając sobie wówczas głowy czymś takim jak seks. Tylko istoty prowadzące nocny tryb życia oraz ludzie odbywali stosunki pod osłoną ciemności. Ciekawe, czy Adam pamiętał jeszcze tych, którzy go uwięzili. Kolonię małp założono prawie dwadzieścia lat temu i od tego czasu żaden z szympansów nie widział człowieka. Kiedy trzeba było wejść na teren zagrody, zwierzętom podawano wieczorem w pożywieniu niewielką dawkę narkotyków,

by przypadkiem któreś z nich się nie obudziło. Zmieniano wtedy niektóre elementy wyposażenia, stawiano nowe przeszkody w miejsce tych, które już przestały być przeszkodami. Od czasu do czasu jedną z małp zabierano na badania, kończące się zazwyczaj pokrojeniem. Ale nie Adama. Adam był ojcem świata. Darin uśmiechnął się w ciemności.

Adam wziął oblubienicę spomiędzy innych bestii i zobaczył, że jest cudowna. Była naprawdę jego, stworzona specjalnie dla niego, o inteligencji mającej dorównać jego własnej. Wspólnie wspięli się na szczyt gładkiej ściany i ujrzeli szeroki świat rozciągający się poza granicami ich ogrodu. Razem znaleźli wyjście do tego świata, który miał być ich, i wyszli, pozostawiając za sobą podlejsze stworzenia. I bóg szukał ich, a nie znalazłszy przeklął i zamknął otwór, przez który mogliby pójść za nimi inni. I stało się tak, że Adam i jego żona byli pierwszymi mężczyzną i kobietą, i z nich wzięło się potomstwo, które miało zamieszkać cały świat. A pewnego dnia Adam rzekł: „Wstydź się, niewiasto! Czyż nie widzisz, żeś naga?” A kobieta odpowiedziała: „I ty też, chłoptasiu, i ty też”. Tak więc skryli swą nagość pod zerwanymi z drzew liśćmi i zespolili się w ciemnościach nocy, żeby mężczyzna nie mógł widzieć niewiasty ani niewiasta mężczyzny. I tak oczyścili się ze wstydu. Teraz i na zawsze. Amen. Alleluja.

Darin zadrżał. Jednak się zdrzemnął, a nocny wiatr nie należał do najcieplejszych. Poszedł do łóżka. Lea odsunęła się od niego przez sen. Dotknął jej; była gorąca. Położył się na lewym boku, tyłem do niej, i zasnął.

– Istnieje takie potencjalne X – mówił przy śniadaniu Darin. – Nie wiemy, gdzie dokładnie należy go szukać. Może ono oznaczać na przykład najwyższy poziom intelektualny, jaki zdoła osiągnąć małpa. Badamy każde nowe pokolenie małp i dzielimy je – na X-1, X-2, X-3, a potem tak je krzyżujemy, żeby uzyskać więcej X-1. Pozostałym dwóm grupom podajemy rRNA pochodzące od pierwotnych X-1. Po pewnym czasie dochowujemy się małpy o zdolnościach wyższych niż ten pierwotny X-1 i wtedy dokonujemy przeklasyfikowania i podajemy innym jej rRNA, by podnieść resztę do jej poziomu. Wszystko jest cały czas pod ścisłą kontrolą, by nie dopuścić do krzyżowania się nie rokujących żadnych nadziei osobników z tymi najlepszymi, a oprócz tego mamy także grupy kontrolne uczone i karmione dokładnie w ten sam sposób, tylko z jednym wyjątkiem: nie dajemy im rRNA. Dzięki temu możemy porównywać ich wyniki.

Lea przyglądała mu się z pewnym zainteresowaniem. Myślał, że zdołał wreszcie do niej dotrzeć, dopóki nie zapytała:

– Czy ty wiesz, że masz już zupełnie siwe skronie? Co do jednego włosa.

Ostrożnie odstawił filiżankę na spodek. Uśmiechnął się do niej.

– Zobaczymy się wieczorem – powiedział.

W dwóch osobnych zagrodach mieli także szympansy, których nikt nigdy nie starał się niczego nauczyć i które nigdy nie miały żadnych kontaktów zarówno ze sobą, jak

i z człowiekiem. Grupie Adama podawano codziennie rRNA uzyskiwane od najzdolniejszych małp, z jakimi mieli do czynienia. Grupa kontrolna otrzymywała jedzenie bez żadnych domieszek. Jej członkowie nie zdołali jeszcze do tej pory opanować techniki obsługi fontanny i korzystali wyłącznie z płynącego przez zagrodę niewielkiego strumyczka. Nie wiedzieli także jeszcze, że owoce rosnące na długich, cienkich gałęziach mogą być strącone przy użyciu dwóch połączonych ze sobą kijów. Kiedy padało, a przezroczysta kopuła była akurat odsunięta, mokli na deszczu lub kryli się pod ociekającymi wodą liśćmi. Grupa Adama już dawno wybudowała pod jego kierunkiem niezgrabny, ale spełniający znakomicie swoje zadanie szałas.

Parkując samochód dostrzegł grupę kobiet maszerującą w kierunku zagrody. Poszedł od razu do gabinetu i manipulując przyciskami i pokrętkami na znajdującej się tam konsolce powiódł wycieczkę korytarzami, zamykając jedno przejście, otwierając drugie, aż wreszcie doprowadził ją do najnowszej zagrody, wpuścił do środka i zamknął drzwi, obserwując ich nieudolne próby wydostania się na zewnątrz. Potem wpuścił do środka szympansy i uśmiech na jego twarzy poszerzył się, gdy widział, jak neo-ludzie kotłują stare kobiety. Część potomstwa była czarna i owłosiona, część różowa i bezwłosa, część mieszana. Młode rosły szybko, wyciągając ręce po swe codzienne dawki, ustawiając się przed maszyną, która je bezustannie badała i sortowała. Niektóre z nich zostały odesłane do komory dezintegracyjnej, niektóre wypuszczono w świat.

Zatrąbił klakson; Darin wyłączył silnik. Kiedy wysiadł, tuż obok zaparkował Stu Evers.

– Zdaje się, że znowu mamy na karku te nietoperze – powiedział Stu.

Razem ruszyli w kierunku laboratoriów.

– Co z małym Driscollem?

– Nic – odparł Darin. Stu wiedział, że chłopcu podawano ludzkie rRNA, i że eksperyment nie przyniósł jak dotąd żadnych pozytywnych rezultatów. Organizm chłopca nie potrafił dokonać aż tak wielkiego przeskoku. Jak na razie wykazuje całkowitą nietolerancję na A-127. Odrzuca niemal natychmiast.

Stuart był dyskretny i współczujący. Nikt poza nim nie wierzył ani trochę w eksperyment Darina. A-127 mógł być rzeczywiście zbyt wielkim krokiem naprzód, pomyślał Darin. Czarne, brazylijskie małpy okazały się po prostu zbyt mądre.

Z gabinetu zadzwonił do Kelly i zapytał o nowe małpy, które badali poprzedniego dnia. Wyciągi z krwi były już gotowe. Przejrzał swoje notatki i wybrał osobnika, który wykazywał zainteresowanie wieloma czynnościami na raz, nie kończąc jednak żadnej z nich. Kelly obiecała, że zastrzyk będzie gotów na pierwszą.

Nikt ze związanych z projektem naukowców nie mógł już zaprzeczyć, że zdolność przyswajania wiedzy małp i ludzi, którym podawano rRNA małego Driscolla, została wyraźnie ograniczona, u niektórych z nich najprawdopodobniej nieodwracalnie.

Darin wołał nie myśleć o reakcji pani Driscoll, gdyby kiedykolwiek dowiedziała się, do

jakich celów wykorzystywano jej chłopca. Rae przysiadła na krawędzi biurka i powiedziała, cedząc wyniośle słowa:

– Mogłabym jej powiedzieć, doktorze Darin. Powiedziałabym tak: „Przykro mi, proszę pani, ale powinna pani trzymać tego kretynka tak daleko stąd, jak to tylko możliwe. Zatrzuwa pani jego krewią mózgi naszych małp”. Zgoda, Darin?

– Mój Boże, co ty tu robisz?

– Badam – odpowiedziała. – Po prostu badam.

Zadzwoił Stu, przypominając o tym, że za czterdzieści minut mają obserwować, jak grupa Adama da sobie radę z najnowszym zadaniem. Darinowi zupełnie umknęło to z pamięci. W nocy w każdej z zagród powalono jedno drzewo, tak by swym pnem zatarasowało koryto strumyka. O jedenastej miano wyłączyć fontanny. W zagrodzie Adama drzewo przerwało dopływ wody tuż przy ogrodzeniu, z dala od zbudowanego nad brzegiem strumyka szałas. Grupa, której nie podawano rRNA, zaczęła już zdradzać pierwsze oznaki pragnienia. Grupa Adama na razie o niczym nie wiedziała.

Darin i Stu stanęli przy oknie, przez które mieli dobry widok niemal na całą zagrodę. Kobiety tymczasem zdążyły już zniknąć.

– Dzisiaj było dla nich zbyt spokojnie – powiedział Stu. – Adam cały czas robił obchód. Nim wrócił do reszty, prawie godzinę siedział na zwałonym drzewie.

Sztuczne jeziorko powiększało się coraz bardziej. Woda w nim była zamulona i wyglądała raczej niezachęcająco. Dziesięć po jedenastej w całej zagrodzie było już wiadomo, że coś niedobrego stało się z wodą. Starsze szympany próbowały uruchomić fontannę; sam Adam robił to kilkakrotnie, stukając w nią kijem i majstrując przy niej, ale bez skutku. Wreszcie usiadł na pośladkach i zapatrzył się na nieczynne urządzenie. Jeden z młodych szympansów jęknął żałośnie. Nie był jeszcze spragniony, co najwyżej zdziwiony i może podenerwowany. Adam łypnął na niego niechętnie. Szympan schował się czym prędzej za Hortense, która obnażyła na Adama kły. Ten pogroził jej, a ona zajęła się iskanie swego dziecka. Kiedy mały znowu zajęczał, szturchnęła go w bok. Młody szympans popatrzył na nią, na Adama, po czym wsadził sobie palec do ust i odszedł na bok. Adam wciąż się wpatrywał w bezużyteczną fontannę. Minęła godzina. Wreszcie Adam podniósł się i ruszył nonszalanckim krokiem w kierunku wysychającego strumienia. Tu i ówdzie widniały jeszcze parujące kałuże mętnej wody. Pozostałe szympany poszły za Adamem. Dotarł aż do miejsca, gdzie strumień wypływał spod plastikowej ściany ogrodzenia, i ponownie usiadł na ziemi. Jakiś młody osobnik zbliżył się do basenu z zanieczyszczoną wodą, dotknął jej powierzchni, cofnął rękę, sięgnął ponownie i wreszcie się napił. Kilka innych małp uczyniło to samo. Adam wciąż siedział bez ruchu. O dwunastej czterdzieści ożył. Chrząkając i wymachując na pozostałych samców zbliżył się do pnia. Z wielkim jazgotem i masą niepotrzebnych gestów szarpnęli pień, potem jeszcze raz

i wreszcie przesunęli go na bok. Woda chlusnęła przez ujście, ochlapując mocujące się z ciężarem małpy. Dwie uciekły, ale dwie inne pozostały z Adamem. Tamte po chwili wróciły.

Wciąż pracowały, kiedy Darin odchodził, by się nie spóźnić na spotkanie z panią Driscoll i jej synem. Pani Driscoll przyjechała dziesięć po pierwszej. Kelty zostawiła strzykawkę z nowym preparatem w małej lodówce stojącej w kącie gabinetu. Darin zrobił Sonny'emu zastrzyk, pobrał mu krew i zaczął badanie. Czasem Sonny nawet z nim współpracował; polegało to na wzięciu do ręki jednego z leżących na stole przedmiotów i ciśnięciu go przed siebie. Dzisiaj udało mu się oczyścić stół w ciągu dziesięciu minut. Darin wcisnął mu do dłoni cukierka; Sonny natychmiast go odrzucił. Darin cierpliwie dawał mu kolejne cukierki. Ósmy pozostał w dłoni chłopca wystarczająco długo, by Darin doprowadził dłoń do jego ust. Kiedy cukierek zniknął, Sonny otworzył usta, czekając na jeszcze. Jego dłonie spoczywały bez ruchu na blacie stołu. Zdawał się w ogóle nie dostrzegać roli, jaką odegrały przenosząc do jego ust smakowity kasek. Darin spróbował zrobić jeszcze raz to samo, ale tym razem Sonny nie chciał niczego trzymać w dłoni.

Kiedy minęła godzina i Sonny zaczął wykazywać widoczne oznaki zmęczenia, pani Driscoll ścisnęła w swoich dłoniach rękę Darina. Oczy zaszczyły jej łzami.

– Udało się panu go nauczyć, jak ma sam jeść. Przynajmniej przez chwilę – powiedziała łamiącym się głosem. – Niech pana Bóg błogosławi, doktorze Darin! Niech pana Bóg błogosławi!

Pocałowała go w rękę i odwróciła się pospiesznie, by nie dostrzegł spływających po jej policzkach łez.

Kelly zjawiała się od razu po ich wyjściu.

– Słyszał pan nowinę? Adam buduje własną tamę – powiedziała zabierając próbkę krwi do badania.

Darin patrzył na nią bez słowa. Czyżby przełom? Pognał czym prędzej na zewnątrz. Odniośł wrażenie, że przy oknach zebrali się chyba wszyscy pracownicy instytutu. Dostrzegł Stu i po chwili był tuż przy nim. Strumyk płynął niespiesznie dawnym korytem, nigdzie jednak nie był głębszy niż na jakieś pół metra. Widać było wyraźnie jego dno – miejscami kamieniste, miejscami zaś wysłane piaskiem. Adam wraz z resztą grupy gromadzili kamienie w jedynym nadającym się idealnie do tego celu miejscu, niedaleko szalasu. Wznoszona przez nich tama miała jakieś pół metra grubości i znajdowała się mniej więcej półtora metra od ściany, a pięć od okna, które zajmowali Darin i Stu. Kiedy budowla była już ukończona, Adam obejrzał się za siebie i Darinowi zdawało się, że oczy szympansa spoglądały przez moment prosto na niego. Później dowiedział się, że niemal każda z przyglądających się osób odczuła to samo, kiedy te czarne, inteligentne oczy patrzyły w inne, również obdarzone rozumem.

– ...najbliższej burzy. W razie powodzi...

- ...zasiać ziarno zamiast...
- ...mózg. Zwoje takie same, jak u człowieka.

Darin, z pobrzmiewającymi mu jeszcze w uszach strzępami czynionych naprędce planów, wrócił do gabinetu. Na biurku znalazł przeznaczoną dla niego wiadomość; polecenie od Jacobsena, by zajął się wizytatorami z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. W poniedziałek o dziesiątej rano miał się spotkać z przedstawicielami uniwersytetu, kimś z Towarzystwa i pełnomocnikami wszystkich zainteresowanych stron. Zabrał się do pisania codziennego raportu o Sonnym Driscollu. Sonny chyba zbyt długo był grzeczny i potulny. Czy ostami zastrzyk nie dostarczy mu przypadkiem tej iskierki determinacji, niezbędnej do tego, by znowu zacząć szaleć? Darin ostrzegł jego goryla, to znaczy pielęgniarza, przed taką możliwością, ale Johnny specjalnie się tym nie przejął. Pozostawało mieć nadzieję, że Sonny nie zabije swego pielęgniarza, by potem rzucić się na matkę i ojca. Matkę najprawdopodobniej by zgwałcił, gdyby nie to, że podobna celowość działań była zupełnie obca dla jego otumanionego umysłu. A co z tymi trzema ludźmi, którzy zgodzili się dobrowolnie, by wstrzykiwano im wyciąg z krwi Sonny'ego? O nich nie chciał nawet myśleć i dlatego właśnie nie mógł się od nich uwolnić, kiedy tak siedział za biurkiem, wpatrując się w pustą przestrzeń. Trzej skazańcy. Tylko tyle, po prostu skazańcy mający nadzieję na złagodzenie kary w zamian za to, że okażą się pomocni nauce. Roześmiał się nagle. Nie, oni nic już nie mogli planować. Nie ta trójka. Po prostu czekali na coś, co ma się zdarzyć, nie myśląc nawet o tym, kiedy to nadejdzie, ani jak ich to dotknie. Właśnie: nie myśląc. Kropka.

– Ale pan zawsze przecież może się wytłumaczyć, że pańskie motywy były jak najuczciwsze, że robił pan to dla Nauki, prawda, doktorze Darin? zapytała ironicznym tonem Rae.

Spojrzał na nią.

– Idź do diabła – powiedział.

Było już późno, kiedy wyłączył światło. W korytarzu prowadzącym do głównego wyjścia spotkał Kelly.

– Ciężki dzień, doktorze Darin?

Skinął głową. Jej dłoń dotknęła na ułamek sekundy jego ramienia.

– Dobranoc – powiedziała skręcając do siebie. Patrzył na zamknięte drzwi przez dłuższą chwilę, zanim wreszcie wyszedł na zewnątrz i ruszył do samochodu. Lea będzie wściekła, że nie zadzwonił. Najprawdopodobniej nie odezwie się do niego ani słowem aż do chwili, kiedy będą się już kładli spać, i dopiero wtedy zaleje go strumieniem łez i oskarżeń. Mógł już teraz przewidzieć, kiedy te łzy i wyrzuty dotrą wreszcie do celu, kiedy ciało Kelly będzie ciągle żywym wspomnieniem, kiedy jej słowa będą mu brzmiały jeszcze w uszach. I wtedy zacznie kłamać, nie dlatego, że tak bardzo mu zależy na tym, aby Lea o niczym nie wiedziała, ale

dlatego, że tego właśnie będzie od niego oczekiwać. Nie wiedziałyby, co począć z prawdą. Prawda osaczyłaby ją do tego stopnia, że mogłyby próbować uwolnić się poprzez nieudane samobójstwo, będące w gruncie rzeczy rozpaczliwym krzykiem, którym chciałyby zwrócić na siebie uwagę, i ten gest związały go z nią łzawymi, niemożliwymi do zerwania więzami. O nie, z całą pewnością skłamię, ona będzie o tym doskonale wiedziała i oboje będą żyć jak do tej pory. Uruchomił silnik i zaczął pokonywać czekające na niego długie dwadzieścia kilometrów. Zastanawiał się, gdzie mogła mieszkać Kelly. Co by się stało ze Stu, gdyby się dowiedział. Jak by to wpłynęło na jego pracę, gdyby kiedyś Kelly miała stać się nie do zniesienia. Wzruszył ramionami. Zasyte Laleczki nigdy nie stawały się nie do zniesienia. Nie były do tego zaprogramowane.

Lea, ubrana tylko w przezroczystą podomkę, z rozpuszczonymi włosami, spotkała go na progu. Jej ciało wpłynęło mu w ramiona, tak że nie potrzebował już wcale Kelly. I był już pierwszym drużbą na ślubie Stu i Kelly.

– Jesteś zadowolona? – zawołał do Rae, ale nie odpowiedziała. Być może tym razem odeszła już na dobre.

Zatrzymał samochód przed swoim domem, w którym nie paliło się nawet jedno światło, i zanim wysiadł, oparł na chwilę głowę na kierownicy. Jeżeli nawet nie na dobre, to przynajmniej na długo. Miał nadzieję, że nie wróci do niego przez długi, długi czas.